



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



JASZCZURKA ROGATA.

Niedawno przywieziono z wyspy San Domingo do ogrodu zoologicznego w Paryżu osobliwsze zwierzątko z rodziny jaszczurek, noszące nazwę naukową *Metopoceros cornuta*. Stworzenie to, na rycinie przedstawione, nietylko owym rogiem na przodzie głowy się odznacza, który mu na-

zwę nadaje, jak widzicie, cała postać jego jest niezwykła i dziwaczna. Głowa szeroka pod szczękami dolnymi opatrzona jest ogromnym, wiszącym workiem, grzbiet najeżony kolcami, a przy nasadzie łba wznosi się wystający garb. Jaszczurka rogata ma około siedmdziesięciu centymetrów długości od pyska do końca ogona, nie należy więc do olbrzymów, przypomina jednak kształtem swoim niektóre ogromne, kopalne jaszczury, dziś już wygasłe. Obyczaje tego zwierzęcia mało są znane, pierwszy to raz okaz żyjący dostał się do Europy, zachowuje się w niewoli dość spokojnie, jada mięso i salate, za zbliżeniem ludzi okazuje z początku złość, groźnie spogląda i głową porusza, lecz po chwili ucieka i ukrywa się po kątach. W ojczyźnie swojej jaszczurka rogata żyje w norach podziemnych. Zdaje się, że pomimo potwornego kształtu, może być zaliczona do istot łagodnych.

LIST Z PARYŻA.

Paryż dnia 7 Maja 1889 r.

Droga Gołąbko!

Wiesz może, że nasza nieodżałowana Kochana pani poprosiła mię była żebym napisała do ciebie po odwiedzeniu Wystawy. Naturalnie nie mogę ci powiedzieć nic bardzo głębokiego ani nawet dokładnego, lecz może niektóre szczegóły cię zajmą?

Otóż, byłam na otwarciu Wystawy! Muszę wyznać, że pojechałam z bijącym sercem... a! bo to nie prosta przechadzka! kochane współczytelniczki które z takim uszanowaniem piszecie o szumnym Paryżu, nie wiecie co to są paryżkie

tłumy, szczególnie kiedy jest do czego się tłoczyć i kiedy liczni cudzoziemcy łączą się do zwykłej ludności! Nasza podróż koleją żelazną trwała dość długo, ale od stacy „Surtu” (Point du jour) można było oglądać z daleka większe gmachy wystawowe. Najprzód przedstawiam wam sławną wieżę Eiffel, druga wieża Babilońska istne dziwo, najwyższy ze wszystkich gmachów tego świata, a przecież zdaje się że utworzona z sieci pajęczej!

Mimo mego zapału, muszę wyznać że zdaleka, owo arcydzieło troszeczkę podobne do... zwykłego komina fabrycznego. Ale zblizka, siostrzyczki, zblizka! Podziwiać go później będziemy. Pociąg się zatrzymuje, wszyscy wysiadają. Jesteśmy na Marsowem Polu, przy jednej z bram Wystawy. Jeszcze nie wpuszczają widzów, ale naturalnie już jest tłum niemały... widać ludzi różnej narodowości, różnego koloru nawet, słycać najrozmaitsze języki... Bum! grzmi armata; dzieci i, trzeba wyznać, niektóre panie, krzyczą przerażone... Pierwsza wybiła, można wejść! To dopiero cisk! każdy podaje swoje bilety, każdy chce wejść pierwszy, a drzwi tak ciasne, a ludzi tylu! Jakoś jednak wchodzimy... Nakoniec! nie chcemy wierzyć oczom, jesteśmy na wystawie! Prezydent Rzeczypospolitej przyjedzie o drugiej, naturalnie chcemy go zobaczyć, a szczególnie towarzyszek moje. Więc udajemy się czempredżej na miejsce kędy on ma przyjechać, pod samą wieżę. Przechodząc szybko, podziwiamy gmach Rzeczypospolitej Argentyńskiej, cały z białego drzewa rzeźbionego, z mnóstwem balkoników przeróżnych, wysadzany drogiemi kamieniami różnego koloru i nadzwyczajnej wielkości.

Jesteśmy pod wieżą! Jak ona wspaniała! Błyszcząca cała w promieniach słońca, a na samym szczycie, tam, tam, ponad obłoki prawie, wznosi się ogromny sztandar francuzki. Pod wieżą, na środku trawnika stoi grupa posągów jak śnieg białych: naokoło wznoszą się wodotryski jak istny puch. Wojsko stoi z obydwóch stron drogi, za wojskiem tłum, a my wśród tłumy... słuchajcie! znów armata grzmi! Prezydent jedzie! już widać kirasyerów na czarnych koniach, zbroje błyszczą pod słońcem. Muzyka daje się słyszeć, grają Marsylianek; a teraz, w przepysznym karecie ukazuje się wśród burzy oklasków i okrzyków sam prezydent, otoczony ministrami i jenerałami. Kłania się tłumowi, i jedzie dalej. Nie powiem wam, drogie moje, nic o mowach jakie były wygłoszone pod tak zwaną kopułą centralną, bo nie byliśmy dość szczęśliwi by się tam dostać; oglądaliśmy tylko zewnątrz gmach ten cudowny. Trzeba wam wiedzieć, że na tej wystawie wszystko odznacza się kolosalnością rozmiarów. Zatem kopuła jest wspaniale pomalowana i wyrzeźbiona. Zewsząd złoto świeci, z każdej strony bramy i na samym szczycie wznoszą się skrzydlate geniusze, prawdziwie bajecznie olbrzymie.

Potem oglądaliśmy wystawę obrazów. W oddziale francuzkim, najliczniejszym naturalnie, podziwialiśmy dzieła Bougros'a między innymi *Zwiastowanie* i *Madonnę*, dzieła Bonnat'a (*Portret kardynała Lavigerie* w naturalnej wielkości); maleńki, ale jak piękny obraz *Saintin'a* przedstawiający rodzinę w żałobie pogrążoną, klęczącą, we łzach. W innych oddziałach widzieliśmy liczne dzieła *Chełmońskiego*, *Zarebskiego*, *Alchimowicza*, *Rozena* i t. d. które znaliśmy już z reprodukcji w dziennikach. W hiszpańskim oddziale błyszczą najjaskrawsze kolory, widać tam niezliczone Hiszpanki w sukniach żółtych lub czerwonych z czarnemi koronkami. Najpiękniejszy oddział mojem zdaniem jest włoski, szczególnie jeden obraz spodobał mi się bardzo: przedstawia wieśniaków uciekających w polu przed nadchodzącą burzą.

Udaliśmy się potem do gmachu gdzie Prezydent miał przekąsić; nikogo nie wpuszczono, ale mogli wszyscy słyszeć piękne śpiewy chóru z opery komicznej. Wtem, ludzie stojący przy wejściu uparli się aby wejść koniecznie, stróże nie pozwolili, zaczęła się kłótnia... i... jakoś złamano zapory, wtargnięto wewnątrz, pomimo wszystkich policjantów... Takie rzeczy dzieją się tylko we Francji! A to nie koniec: rzucano się ku stołowi który prezydent ledwo co opuścił. Panie zer-

wały kwiaty z bukietów, a że nie było dosyć kwiatów dla wszystkich, wydzierały je sobie... Szczęściem, mogliśmy się dostać na wspaniałe schody, i z góry patrzyliśmy na tę scenę. Wyszliśmy do ogrodu by oddychać trochę świeżem powietrzem. Usiedliśmy w ślicznej alei i mogliśmy się przypatrywać przechodniom. Byli tam Arabowie, Chińczycy, Anamici, Murzyni z Senegalu, nie licząc już Europejczyków i Amerykanów. Szczęściem, słońce świeciło cały dzień, to też ten tłum malowniczy mógł się swobodnie przechadzać pod cieniem wspaniałych drzew, między wodotryskami, posągami, kwiatami... Muszę ci jeszcze mówić, Gołabczko, o tych przesławnych gmachach do machin... Już ci powiedziałam, że na wystawie wszystko jest olbrzymie, otóż te gmachy są tryumfem wielkości. Są one godniejsze podziwu niż sama wieża Eiffel. Nie można już chyba opisać jakiego wrażenia się doznaje wchodząc w to prawdziwe miasto, napełnione machinami przeróżnemi, a pokryte okropnie wysoko jedynem, szklanem sklepieniem. Naokoło widać przeróżne okiennice różnokolorowe, ale już widzieliśmy tyle rzeczy godnych podziwu, że patrzymy na wszystko dość obojętnie. Lecz trzeba pesilić się czemś, udajemy się do restauracji jakiejś. Myślicie że to rzecz łatwa? Patrzcie, przed każdą restauracją stoi długi „ogon” głodnych osób. Restauracye pełne, nikt nawet wejść nie może; teraz już nawet ci co weszli nic dostać nie mogą, oprócz chleba i masła, wszystkie inne zapasy znikły!... za chwilę i chleba zabraknie... Nie powiem ci nic więcej Gołabczko, bo w tej chwili wróciliśmy do domu Ponury Rozbójnik morski i ja. Z pociągu widzieliśmy troszeczkę illuminacyą i fajerwerki, które miały być za dziwiająco piękne. Wieża Eiffel była oświetlona gazem, a na jej szczycie stał ruchomy ogień trójkolorowy, który otąd co noc świecić będzie nad Paryżem. Reszta towarzystwa naszego wróciła dopiero o pierwszej w nocy, podobno tłum był okropny, tłok jak nigdy; trzy godziny musieli stać na dworcu Marsowego Pola by dostać miejsca!

Kończę, Gołabko moja, i miłe towarzyszek, jeśli ta gadanina nie znudziła was zanadto, to może pozwolicie żebym kiedyś opowiedziała wam drugie moje odwiedziny na Wystawie. Wczoraj widzieliśmy tylko ważniejsze rzeczy, a zresztą pobieżnie bardzo, później będę mogła może opisać wam bardziej szczegółowo niektóre oddziały. Ściskam was drogie siostrzyczki. Wasza:

Jaskółka z nad Sekwany.

DO MARZĄCEJ DZIEWCZYNI.

Ot tam przy oknie, wsparte na dłoni,
Młodziutkie dziewczę patrzy przed siebie,
I wzrokiem słońca promyczek goni,
Co po błękitnem snuje się niebie,
I za złocistą zdążając smugą,
Dziewczę przestrzenie mija bez końca,
Oblane blasków świetlaną strugą,
Wpatrzzone w tarczę złocistą słońca.

— Czego tam, dziewczę, szukasz wysoko?
Wszak łą ci srebrną zaszło już oko,
Obłok znużenia już wzrok ci mroczy,
Za czem tak tęskne wpatrujesz oczy?

— O jabym chciała odpowie^{*} dziewczę,
— Wpłynąć po złotej promieniem fali
Do tego słońca, co tam w oddali
Wabi mi serce i wzrok mój łechce.
I tam u wielkiej światła skarbnicy
Wszystkie promienie zagarnąć jasne,
Potoki blasków wyrwać z ciemnicy
I opromienić niwy me własne;

— Ej, moje dziecię! słońca promienie
Rozprościć mogą tylko te cienie,
Które w noc każdą nad naszą ziemią
Z rozkazu Stwórcy wiszą i drzemią.
Słońca promienie ożywić mogą
Tylko wędzące kwiaty nad drogą,
Wlać cudne dźwięki w słowików głosy
I obrylanceć kropelką rosy!
Ale dla ludzkich serc, dziecię moje,
Są inne światła i ciepła zdroje;
W duszach je ludzkich mocą swą Boską
Stwórca niestartą wypisał zgłoską.

* * *

Wiara na co w życia wzburzonej fali
Duszę bez steru z ciemnych otchłani
Wyrwie, od zguby pewnej ocali,
Wiodąc do cichłej Bożej przystani.

* * *

Kto raz do Boga zawołał: wierzę!
Temu nie grożą żadne pociski,
Pierś jego zbrojna w modlitw pancerze,
Których nie skruszą niewiary błyski.
Kto idzie w wierze niech się nie lęka:
Nie zbłądzi z drogi w żadne bezdroże,
Za sobą porwać góry on może,
Przed silną wiarą nieufność klęka!

* * *

A drugim skarbem, danym nam z nieba,
To matka przyszłych czynów: nadzieja.
Choć się nad tobą sroży zawieja,
Choć niepowodzeń wiatr pruszy w oczy,
A los zawzięty bój z tobą toczy,
Choć zniechęcone chce opaść ramię,
Niech się twa wola i hart nie łamie,
Ufaj, że drobnych rąk twoich praca,
Choć małym datkiem przyszłość wzbogaca.

* * *

Lecz co największą siłę w nas budzi,
To miłość Boga i miłość ludzi,
Co w jeden uścisk ziemię oplata,
A łącząc wszystkich współbraci dłonie,
Na jednym Boga ojcowskim łonie,
Gwiazdziste niebo zbliża do świata.
To owa miłość, co naprzód kroczy,
Biała jak gołąb, jak on niewinna,
A jednak żądna pracy i czynna;
Co osuszając spłakany oczy,
Wie, komu jakiej pomocy trzeba;
A więc głodnemu da kawał chleba,
Tym, którzy płaczą, słowa pociechy,
Szczęśliwym podział szczęścia, uśmiechy;
A tym co wątpią, na życia boje
Da krzyż i wiarę, łask Bożych zdroje.

Gabryela Jasińska.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ.

opisała **Kalinka.**

I.

Mama moja nadspodziewanie wcześniej, bo 12 Czerwca wyjechała z Krakowa do Styryi. Ja bardzo się cieszyłam na myśl poznania Wiednia, i pięknego Fürstenhofu w Alpach, ale wszystkie te marzenia nie przeszkodziły mi sma-

czno się przespać w wagonie, tak że nawet nie spostrzegłam, kiedyśmy przejechały granicę szlaską. Zato, zbudziwszy się o trzeciej zrana, otulona szalem z powodu wcale nie czerwcowego zimna, przypatrywałam się okolicy. ale nie szczególnego dojrzeć nie mogłam, bo pola niemieckie w szarą mgłę upowite, zupełnie tak, jak i nasze wyglądały. I słońce otoczone purpurowymi obłoczkami, weszło nad niemiecką ziemię tak, jak i nad naszą, wyczekiwałam więc dalszych wrażeń.

Nareszcie po kilku godzinach ujrzałam wielką przesterzeń, pokrytą szaremi dachami, którym zdawała się błogosławić niebotyczna, wysmukła wieża: to S-ty Stefan. Teraz już szybko zbliżaliśmy się ku miastu, aż nareszcie pociąg zatrzymał się przed pięknym, ogromnym budynkiem, ozdobionym basztami, na których powiewają chorągwie: to Wiedeński Nordbahnhof; po chwili dorożka unosiła nas ku hotelowi, gdzie przełknąwszy śniadanie i przebrawszy się, pobiegliśmy do miasta.

Pierwszym celem naszych wycieczek był kościół świętego Stefana. Zaprowadziła nas do niego poczciwa jakaś kumoszka, ale przyznam się, że zbliżka rozzarował on mnie nieco; pochodzi to zapewne ztąd, że plac Stefana jest zbyt ciasny, i kościół wygląda jakgdyby wtłoczony, a wieży wznieścioną ku górze zdaje się braknąć oddechu. Dopiero gdy wzrok podniesiemy, zachwycą nas niesłychana delikatność, z jaką są wykute z kamienia te niby koronkowe ozdoby.

Wszedłszy do kościoła najpierw zwracamy wzrok nasz ku górze ku gotyckiemu sklepieniu, ale niestety! jest ono w większej części zakryte z powodu reperacyj, jakim wówczas właśnie podlegał kościół. Pierwszą rzeczą, która potem nasz wzrok uderzyła, były okna; prześliczna mozaika z kolorowego szkła, przedstawia tam całe sceny biblijne. Zwiedzając kościół, zatrzymałyśmy się dłużej przed olbrzymim pomnikiem z czerwonego marmuru, wystawionego dla ces. Fryderyka III-go i przed piękną amboną z marmurowych koronek. Poczem wyszłyśmy z kościoła, a wyczytawszy w nieoszacowanym „Bädecker’ze”, że na Franz-Josefsplatzu, czy na innym, (bo są place Franciszka, Józefa i Franciszka-Józefa, a na wszystkich całkiem do siebie podobne konne pomniki) ma grać muzyka wojskowa podczas wielkiej parady, udałyśmy się tam zaraz. Ale muzyka nas zawiodła, a ponieważ mamie migrena dokuczała, mnie zaś głód doskwierał, więc poszłyśmy na obiad do restauracyi.

„A teraz dokąd?” — to pytanie mi się mimowoli nasunęło, gdyśmy się znalazły same jedne wśród gwaru i hałasu niemieckiej rozmowy, przyczem dziwnie jakoś brzmiały polskie słowa... Uradziłyśmy, że pójdziemy do galeryi obrazów hr. Harracha. Przybywszy tam, przez parę godzin zachwycaliśmy się arcydziełami włoskich mistrzów, a ja przeczuć nie mogłam, że te obrazy, które we mnie taki zachwyt budziły, nazajutrz zbledną w porównaniu z tem, co zobaczę.

Na drugi dzień, orzeźwione długim wypoczynkiem, pospieszyłyśmy do „Augustinerkirche”, gdzie naprzeciw wejścia ukazał nam się śliczny marmurowy nagrobek arcyksiężny Krystyny, tak piękny, tak prześliczny, że oderwać od niego oczu nie mogłam, i dotąd uważam go za najpiękniejszą rzecz, jaką w Wiedniu widziałam. Składa się z figur przedstawiających pobożność i miłosierdzie, ale wyraz twarzy i oczu, cała postawa, wszystko to jest tak piękne, że na opisanie nawet się pokusić nie mogę. A przytem każdy muskuł, każda żyłka, tak doskonale wyrobione, że zdaje nam się, iż za chwilę te postacie ożywią się, zaczną się poruszać i mówić...

Trzecim pięknym kościołem w Wiedniu jest „Votivkirche” z dwiema prześlicznymi wieżami; zdaleka zaś uderza oryginalną budową kościół Karola z dwiema olbrzymimi kolumnami o złotych kapitelach. Sprawiały one na mnie zupełnie wrażenie sztyldwachów, strzegących wejścia do świątyni. Wogóle miasto całe obfituje w piękne gmachy, a między niemi niektóre śliczne domy prywatne; najpospolitszymi ozdobami są karyatydy, zwykle w postaci dziewcz, które na głowie uwieńczonej laurami podtrzymują bez wysiłku ciężkie kamienne balkony. Ale miasto, choć piękne i duże, nie jest

ani o połowę tak ruchliwe, jak nasza kochana Warszawa, która przetrwała dla mnie przynajmniej bez porównania miłsza.

Pół dnia zajęło nam zwiedzanie Górnego Belwederu: Jestto piękny gmach, gdzie na dwóch piętrach i na parterze znajduje się mnóstwo sal, wypełnionych obrazami (jest ich 1200). Prawe skrzydło zajmuje szkoła włoska, lewe niderlandzka. Ach! Co tam cudności! A obrazy! jedne piękniejsze od drugich. Madonny mają wyraz twarzy tak piękny, tak anielski, że zdaje się iż chyba sama Matka Boska inaczej wyglądać nie mogła. A co za tryumf był dla nas gdyśmy spostrzegli, że obok starych mistrzów nic nie traci obraz naszego Matejki.

Z Belwederu, zmęczone długim przyglądaniem się obrazom, pośpieszyliśmy do naszych znajomych gdzie orzeźwiwszy się przewybornem kwaśnem mlekiem, miałyśmy jechać do Schönbrunn, lecz przeszkodził temu okrutny Feb, ukrywając swe świetlane oblicze za chmurę, która obfitym deszczem lunęła na ten padół leż (a powinnyby one wystarczyć do odświeżenia ziemi). Skwaszone więc wróciłyśmy do domu, a ja się pocieszyłam czytaniem „Dziedzica Redclyffu’a,” ale choć mię mocno interesują losy młodego Gwidona, wolałabym była zostawić go tym razem w jego zamku... na dnie kufra.

Nazajutrz udałyśmy się do Niższego Belwederu, jest on od górnego gmachu oddzielony pięknym ogrodem, który tarasami zwolna się spuszcza coraz niżej. W tak zwanem Ambraser-Semmlung” podziwialiśmy piękną zbrojownię, znajduje się tam zbroja Batorego. W dalszych salach zachwyciły nas piękne gobeliny. (ale nie piękniejsze od tych, które są w Krakowie, w Muzeum Czartoryskich) kameje delikatnie wyrzeźbione, oraz mnóstwo ślicznych wyrobów z kości słoniowej. Nic tam jednak nie znalazłam takiego, coby na mnie silniejsze wywarło wrażenie i trwalsze pozostawiło wspomnienie.

Wśród jednostajnie klapiącego deszczu dostałyśmy się do restauracji, a ztamtąd do tramwajowej stacji, gdzie po jakimś czasie dopiero wsiadłyśmy do tramwaju: miła przeprawa! Cały tramwaj natłoczony osobami, trzymającami parasole, z których ściekają strumienie wody. Mamuńcia ledwo sobie kącik znalazła, ja zaś stojąc. chciałam dla równowagi uchwycić jedną ze skórzaných pętli, które wiszą w tym celu na suficie; ale zamiast tego, pociągnęłam rzemień od sygnałowego dzwonka, wskutek czego mało co nie zatrzymałam tramwaju.

Po takich przygodach, stanęłyśmy nareszcie u celu t. j. przed gmachem giełdowym gdzie się znajduje mało znane, a bardzo ciekawe muzeum „Wschodnie”. Mnóstwo sal jest wypełnionych różnymi wyrobami i produktami azjatyckich krajów. I tak: w sali arabskiej widzimy jedwabie, dywany i t. d. w japońskiej znów szkatułki z laki ozdobnej, piękne wazy i t. d. Nagle w indyjskiej sali uderza wzrok nasz gablotka, w której widać zbiorowisko jakichś drobnych figurek, to całe życie indyjskie przedstawione na jednej ulicy. Tu widzimy młodą dziewczynę, sprzedającą owoce, tu kilku kapłanów odprawia swe modlitwy, tu znów niosą w lektyce jakiegoś bogacza. W ten sam sposób jest przedstawione życie chińskie i japońskie.

Zawróciwszy raz jeszcze do arabskiej sali, bierze ochota zajrzeć poza ciężką kotarę, która wisi we drzwiach, podnosimy ją i... wydaje nam się, że jesteśmy przeniesieni do jakiegoś tureckiego pałacu, bo na podłodze leżą tureckie dywany, któremi są też i ściany pozawieszane; po obu stronach pokoju są wielkie sofy, prawdziwie tureckie, a w kącie stoi fajka z nargilem. W ten sposób z prawdziwie wscho-

dnim przepychem jest urządzonych kilka sal, a niepewne światło, przedostające się przez ciemne firanki, dopełnia złudzenia.

Na wychodnem z muzeum zatrzymała nas służba z wieścią o śmierci cesarza niemieckiego Fryderyka. Z powodu żałoby zamknięto nadworną operę, więc nie mogłyśmy być



Rysownik w Tatrach.

już niestety! na czarodziejskim baliecie „Excelsior”. Nazajutrz miałyśmy wyjeżdżać, ale przedtem jeszcze postanowiłyśmy odbyć wycieczkę do Schönbrunn. Nie udało się nam ona jednak, bo zwierząt nie wypuszczano z powodu zimna i najpiękniejszą rzeczą był widok w parku z Glorietty na cały Wiedeń i jego okolice.

Najpiękniejszymi budynkami w Wiedniu są: Ratusz, Burg (zamek królewski) Burg-theater i Opera. Piękną wie-

żę ratuszową widać zdaleka, a Burgtheater w stylu roccoco stanowi piękny kontrast z gotyckim kościołem „Votivkirche”. Opera ma być wewnątrz bardzo piękna, ale niestety! nie miałyśmy sposobności jej podziwiać. W Burgu zwiedzałyśmy „Schatzkammer”, lecz brylanty i drogie kamienie zostały mi wrażenie tak małe, że zapomniałam o nich pisać.

uroczej Styryi, chciałabym jeszcze wspomnieć o trzech dniach spędzonych w Wiedniu, powracając do Krakowa. Przybywszy do Wiednia, nie miałyśmy zupełnie zamiaru zwiedzać tego miasta, i zatrzymałyśmy się tylko dla wypoczynku mamuńci, która nogę nadwreżyła w czasie wakacji. Gdy się jednak okazało, że noga zupełnie na podróży nie ucierpiała, od razu udałyśmy się do Stadtparku, któregośmy poprzednio nie widziały z powodu deszczu.

Śliczny ten ogród, z pięknym gmachem „Cursalon” pośrodku, zachwyca szczególnie roślinami zamorskimi i wzorowym porządkiem, z jakim jest utrzymany, trawniki ozdabiają piękne dywanowe klomby, nad brzegiem stawów bujają chwiejne papyrasy i trzciny rozmaite. W stronie parku, w której wznosi się posąg „Donauynpfe”, bawi się mnóstwo dzieci, cały ogród roi się od ludku wiedeńskiego, a wiele osób rzuca jedzenie wróblom zlatującym się gromadnie. Zwraca też uwagę pomnik Schuberta.

Nazajutrz rano przedewszystkiem poszłyśmy po bilety na balet, następnie zaś pojechałyśmy do Prateru na wielką jubileuszową wystawę wyrobów z całej monarchii Austrowęgierskiej. Tam spędziłyśmy dłuższy czas w wielkiej rotundzie i bynajmniej nie obejrzałyśmy wszystkiego. Cóż tam za przepych i wspaniałość! Przedmiotów, znajdujących się tam, wcale opisywać nie potrzebuję, bo są one w tym samym rodzaju, co na wszystkich innych wystawach powszechnych, tylko ma się rozumieć piękniejsze, niż na warszawskiej i krakowskiej.

Wieczorem zachwyciłyśmy się czarodziejskim baletem „excelsior” dawanym w pięknym teatrze, w gmachu Opery, należącym do najpiękniejszych budynków w Wiedniu. Opera jest zbudowana w stylu renesansowym francuzkim i bardzo piękna, szczególnie wewnątrz, ozdobiona kolumnami freskami, posągami i t. d. i t. d. Zwiedziłyśmy także „Künstlerhaus”: jestto piękny gmach z obrazami nowożytnych malarzy, wystawionymi na sprzedaż i osobną salę obrazów myśliwskich Hamiltona z XVIII-go wieku. Wogóle jednak jest tam niewiele obrazów i niezbyt piękne.

Prześliczne zato jest muzeum Austriackie „Für Kunst & Industrie”: Z wspaniałego portalu, napełnionego gipsowymi odlewami z najznakomitszych rzeźb (np. z watykańskiej grupy „Lao-kooną”, z „Apolla Belwederskiego i t. d.) prowadzi drzwi do licznych sal, napełnionych antykami wyrobami chińskimi i japońskimi z różnych szkielek, wyrobami bronzowymi, zbrojami, ślicznie wykonanymi robotami filigranowymi (z Indji i Persji), obok zaś naśladowania tychże przedmiotów. W osobnej sali same rzeźby marmurowe i odlew gipsowe, a w oszklonych szafach prześliczne naśladowania z kości słoniowej, robione z porcelany. Załowałyśmy tylko, że z powodu porządkowania zbiorów niektóre sale były zamknięte. Muzeum to daje dokładne wyobrażenie o sztuce do przemysłu zastosowanej.

Ciekawym budynkiem w Wiedniu jest „dom porcelanowy” na ulicy Kärnthnerstrasse. Dom ten jest cały ozdobiony kafelkami porcelanowymi; zwiedzałyśmy też ogromny skład porcelany w tym domu, i ja upatrzyłam tam mnóstwo ładnych a niedrogich rzeczy, które miałam moim znajomym poprzywozić z zagranicy, ale z powodu wiecznego roztrzępania, zgubiłam cały swój majątek, i z pięknych marzeń pozostało tylko wspomnienie. Niedaleko naszego mieszkania znajdował się kościół ś. go. Karola, o którym już poprzednio wspominałam, a który miałyśmy sposobność zwiedzić: wewnątrz znajdują się malowidła stosowne do okoliczności, w których kościół

Powróciwszy z Schönbrunn, zabiegłyśmy tylko do hotelu, aby zapłacić rachunek i zabrać rzeczy, poczem pojechałyśmy na dworzec, gdzie zjadłszy obiad, wsiadłyśmy do wagonu i pociąg uniósł nas daleko od Wiednia... w Alpy.

II.

Pozostawiając na później opis pobytu mego w pięknej,

został zbudowany: za panowania cesarza Karola VI wybuchła dzuma w mieście, cesarz ślubował Bogu, że jeśli nie-
szczęście zostanie odwrócone od miasta, wybuduje kościół
św. Karolowi Borromeuszowi i po ustaniu zarazy niezwłocznie
zabrał się do dzieła.

Na trzeci dzień pobytu naszego wieczorem pożegnały-
śmy Wiedeń, który nam się bardzo podobał, zarówno z pię-
knych gmachów, jak i z powodu rzadkiej uprzejmości miesz-
kańców. Ale ja mimo to z radością wracałam do domu i do
kraju, za którym się już stęskniłam.

Rysownik w Tatrach.

Wróciła wiosna, a z nią jak ptaki wędrowne wyruszają
chciwi wrażeń podróżni, w odległe okolice kraju. Wkrótce
załadni się nimi Ojców, ulubione Zakopane i bliższe nam
S-to Krzyżkie góry.

Wieczory podawały niejednokrotnie wizerunki z Tatr
i Pienin, dzisiejszy kreślony nieźrównanym ołówkiem Andriol-
lego, przedstawia malarza szkicuującego jedną z najwyższych
gór w Pieninach.

Zowie się ona Sokolicą, liczy 1057 stóp wysokości a gó-
rale tamtejsi ze szczególnem patrzą na nią wydobaniem,
uważając słusznie za ozdobę ukochanego kraju.

To też i na załączonym obrazku z ciekawością przypa-
truje się góral, czy dzieło oprowadzanego malarza godne bę-
dzie jego Sokolicy, a sąd prostego wieśniaka bywa nieraz, wie-
rzając mi, bardzo trafny.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Na Bajkale.

Na zielonych falach *świętego morza* płynie uroczyście
milcząca flotylla. Ne czele, w długiem, wązkim czółnie,
u którego przy rudlu sterczy cesarski buńczuk, Mangusar
siedzi i z rozkoszą pokręca węża. Przy nim stoi kilku opraw-
ców, czekających na jego skinienie.

Tuż za czółnem płynie łódź wielka, pokryta czarnym
pilśniowym namiotem. Pod nim jedzie Ludmiła pilnowana
przez dwie Szamanki, rosłe, śniade niewiasty, z czerwonymi
przepaskami na roztarganych włosach. Przysiadły się przy
jój ramionach i nieustannie w nią patrzą świdrującymi ocz-
mi, jakby chciały już naprzód prawdę z jój duszy wyciągnąć.

Po dwóch stronach łodzi namiotowej płyną dwie łodzie
otwarte, na których umieszczono Kajkuła i Ajdara. Obaj
otoczeni strażą. Kajkuł pewny siebie, siedzi spokojnie i uśmie-
cha się na myśl, że piękna branka, żona wroga, za chwilę
wpadnie w moc złych duchów. Ajdar za to niepokoi się
i miota. Ach! musi bardzo kochać Ludmiłę, kiedy nawet
świadków się nie wstydzi. Oto padł na twarz, bije czołem
o twarde dno łódki i jęczy:

— Duchu Bajkalski! Nie zabieraj mi mojej gołąbki!

Potem w duszy czyni różne śluby: jeśli zostanie wysłu-
chanym, pojedzie na wyspę Olchon, to a to da Szamanom.
Nie próżno Ajdar się troska, duch Bajkału wygląda jakoś
gniewnie. Ranek jest chmurny i wietrzny; od chwili, jak ze
świtem wypłynęli, bałwany coraz ostrzej się piętrzą, czyżby
Ludmiła kłamała?

— Ach! — myśli sobie Ajdar — jeśli nawet skłamała,
to tylko w tym celu, aby się dostać do mojego namiotu! Ona
mnie przeniosła nad wszystkich, nawet nad wielkiego Cha-
ana... i miałażby za to ginąć? O, nieszczęście!...

I rozpacział coraz więcej. Przed południem otucha za-
częła w niego wstępować; chmury się darły podłużnie, błękit
nieba w kilku miejscach błysnął, wody coraz łagodniej falo-
wały. Ajdar podniósł do nieba oczy pełne błagania i na-
dziei. Wiele innych głów podniosło się także, bo w ślad za
czterema pierwszymi łodziami płynęło mnóstwo innych. Je-
chał cały dwór Ajdara, jechały inne jego żony (miał jeszcze
trzy dawniejsze od Ludmiły) uśmiechnięte złośliwie, życzące
pewnie zguby zawadnej towarzysze.

Obok nich siedziała Arguna, obojętnie na wszystko pa-
trząca. Kałga stał przy niej, a białe zęby świeciły mu ra-
dością. Nie rozumiał sam, z czego się cieszy, ale widział,
że wszyscy potrwożeni, że coś komuś grozi, i było mu przy-
jemnie. Za nim stała Elżbieta, drżąca, ledwo mogąca na
nogach się utrzymać. Dziwaczne trwogi ją dręczyły: wpra-
wdzie Ludmiła szczerą prawdę ma zaprzysięgnąć, ale któż
wie? Może w tem jeziorze istotnie są czary? Może tam siedzą
dyabły, które właśnie pomszczą się za wypowiedzenie praw-
dy? (W tych czasach i ludzie oświeceni nie byli wolni od
zabobonów).

— Mnóstwo było innych jeszcze statków, batów, nawet
prostych tratw, zapelnionych ciekawymi, co chcieli widzieć
rozstrzygnięcie sprawy, poruszającej cały dwór i stolicę.
W południe, kiedy flotylla przepływała pod skalną arkadą,
zwaną „wrotami angarskimi”, fale już ledwo się marszczyły.
Wicher opadł, woń świeżej zieloności biła od drzew i tra-
wisk, bujnie zwieszających się z opok. Wpływają na łożysko
Angary. Beładna gromada ścisła się i przedłuża we wstę-
gę. Przewoźnicy pierwszych czółen krzyczą:

— Stój!

Wszyscy inni zatrzymali wiosła. Szykują łodzie w oko-
ło wyrocznego kamienia. Szamanki wstają, biorą Ludmiłę
pod ręce, wyprowadzają z namiotu i mówią ponuro:

— Wejdz na kamień.

Łódka tańcząca to zbliża się to oddala od kamienia.
Ludmiła czeka, sama nie wie na co, serce jój mocno bije.
Pewna jest swojej przysięgi, a jednak uroczystość przygo-
towań, czarne spojrzenia Szamanek, tajemniczość tych wód,
groźnie rozbryzgujących się o kamień, wprowadziły ją w stan
niezwykły. Gniewa się na samą siebie, a nie może przemódz
dziwną ociężałości, która ją ubezwładnia. Ile razy stopę
podniesie, aby wstąpić na kamień, zaraz i kamień, i rzeka,
i wszystko w oczach jój wiruje.

Szczęściem przypomniła sobie radę podaną przez
Elżbietę. Przeżegnała się — i wszystko złe odeszło. W oczach
stanął dzień biały, świat przestał kołować wbiegła lekko na
kamień, spojrzała w koło siebie. Przed nią kołysało się
czółenko, z którego Mongussar i oprawcy rzucali spojrzenia
palące ciekawością. Po dwóch stronach miała dwie inne
łodzie; z jednej Kajkuł patrzył szyderczo, w drugiej stał
Ajdard, jak przykuty, na twarzy mienił się tak mocno, że Lu-
dmiła wzruszona rzuciła ku niemu zachęcające, serdeczne
spojrzenie. Potem, złożwszy ręce, jakby do modlitwy, mo-
cno i wyraźnie wyrzekła po mongolsku:

— Przysięgam na ten kamień Angary, na którym oto
stoję, że Kargan chciał mnie wydać w ręce tu obecnego
Kajkuła i dla tej to właśnie groźby udałam się o pomoc do
Behadyra Ajdara, mojego mężonka.

Umilkła, o! już teraz nie jęć, ale wszystkim obecnym
serce biło. Wszyscy czekali, co się stanie?...

Tymczasem nic się nie stawało. Patrzyli, to w głębinę,
czy się nie otworzą pod nią i nie schłona jęć żywem, to
w niebo, czy nie uderzy piorunem? Ale zamiast piorunów,
niebo odpowiedziało innym znakiem: obłoki się rozdarły
i słońce wypłynęło wązkim, złotym promieniem, który padł-
szy jakby umyślnie na kamień, otoczył Ludmiłę snopem
światła. Szamanki tymczasem rachowały do stu. Była to
miara czasu pozostawiona duchom. Kiedy już doszły miary,
wykrzyknęły:

— Sto! Przysięga prawdziwa!

Wtedy wybuchnął wielki okrzyk, wszyscy zwrócili się
do Ajdara. Kajkuł osłupiał nad niesprawiedliwością du-

chów, przetarł oczy, oglądał się z niedowierzaniem. Nagle spotkał wzrok Mangussara i zzieleniał. Mangussar dawał znak oprawcom. Ci skoczyli w łódź przegrywającego i pędem skierowali ją do brzegu.

Ajdar łyż miał w oczach, tak, chociaż Tatar, spojrział przez łyż na Ludmiłę, ze swego czoła przeskoczył do jej łodzi, drżące ręce ku niej wyciągnął, gdy zstępowała z kamienia.

* * *

Już Ludmiła mięknąć zaczynała dla tego męża, który jej tyle okazywał przywiązania, lecz Ajdar wpadł w dziką, straszną radość, gdy usłyszał jejki mordowanego Kajkuła, wroga swojego i serce chrześcijańskiej niewiasty musiało się znów odwrócić od barbarzyńcy. Potem łodzie Ajdara popłynęły do wyspy Olchonu, słynnej siedziby Szamanów i Szamanek, to jest kapłanów i kapłanek odrębnej religii, szamanizmem zwaną przez największą część Mongołów. Uszczęśliwiony Behadyr, że gołąbka jego wyszła cała z tej niebezpiecznej przygody, chciał według uczynionego ślubu bogate dary złożyć duchom wodnym i lądowym, zamieszkującymi według mniemania Szamanów, i wody Bajkału, i jaskinie, podziemne Olchonu.

A gdy złożył ofiary i dziękczynienia, Arguna poczęła prosić, aby jej pozwolił zapytać Szamanów, umiających przyszłość wróżyć, o losy ukochanego jej jedynaka Kałgi. Obdarzony sowicie, wyszedł do nich kapłan najwyższy, chan Szamanów i wśród rozmaitych dziwacznych obrządków wyrzekł, iż na życie i pomyślność chłopca wpływ nadzwyczajny wywiera jego nianka, Elżbieta, niewiasta wielce miła jasnym, dobrym duchom, „wielka Szamanka”, jak ją nazwał w końcu. Matka zaniepokojona pytała, czy ta kobieta, czarodziejską władzą obdarzona, ma ciągle towarzyszyć jej synowi, nawet kiedy dorośnie i na wojnę pojedzie?

— Poco? — odrzekł chan Szamanów — niech on tylko chodzi w sukniach, zrobionych jej rękami, to dosyć. Póki w nich będzie chodził, póty będzie jadł, pił i zabijał nieprzyjaciół. Jak ostatnią z tych sukien włoży, wszystko się dla niego skończy.

Ta odpowiedź wpłynęła dość pomyślnie na los Elżbiety. Odtąd Arguna nie wymagała już od niej, aby nieodstępnie piastowała nieznosnego chłopaka, lecz zasadziła ją do roboty. I to było zadanie uciążliwe, bo Kałga darł i niszczył ubranie bez litości, nastarczyć mu było trudno, zawsze jednak wołała Elżbieta do zajęcia, a z robotą mogła przesiadywać u Ludmiły. Musiała nieboga żyć od rana do wieczora kaftany, suto haftowane, czapczyńska tatarskie, kożuski, bo Arguna, troskliwa o jedynaka, napełniała zbytecznymi sukniemi skrzynie całe, byle ich tylko nie zabrakło boże, byle nie dojść do tej ostatniej, która Kałdze miała zgubę przynieść. Otaczano też Elżbietę pewnymi względami, dbano trochę więcej o jej życie i zdrowie, potrzebne dla Kałgi, a sługi Arguny szanowały w niej istotę „zaszamanioną”.

Tymczasem nadeszła pora kuryłtaju, owego sejmku elekcyjnego, na którym miał być obrany wielki chaan. W Kakorurumie za ciasno było na takie liczne zgromadzenie, samych posłów różnych mocarstw większych i mniejszych zebrało się tam cztery tysiące! A każdy przecież wiódł za sobą orszak wspaniały. Wszyscy więc rozłożyli się w miejscu o pół dnia drogi oddalonem od stolicy, zwanem *Dalandaba*, czyli siedmdziesiąt pagórków. Oto, jak autorka opisuje, według świadectwa podróżników owczesnych, przygotowania do Kuryłtaju:

„Na ogromnej równinie zbudowano piękne, koliste ogrodzenie z wiązań, wprawdzie drewnianych, ale w chińskie wzory plecionych. Po tych kratkach biegły wisiorami kobierce perskie i szale indyjskie, kraśniejące od cudnie wyrabianych ptaków, kwiatów, palm i arabesków. Krąg ogrodzenia był tak ogromny, że pięć do sześciu tysięcy sejmujących obracało się w nim swobodnie. Na środku stał olbrzymi namiot, mogący pomieścić dwa tysiące osób, a cały, o cudol! z białego aksamitu, który białą purpurą nazywano. Jakież

musiały być bogactwa zdobywców, kiedy samą tę purpurę białą znalazła się ilość wystarczająca na wzniesienie podobnego gmachu! Bo namiot nie był prostym stogiem, ale gmachem spiętrzoną w falujące podpięcia i zwoje, dźwigniętą w kopułę, która się zakończyła rodzajem świecistego wianka czy korony. Zdaleka wyglądał, jak pałac z obłoków. W koło ogrodzenia, na siedmdziesięciu pagórkach, rozkładały się poselstwa, przenośne targowiska, i bez końca, bez końca bielejące obozy. Mówimy *bielejące*, bo na czas Kuryłtaju znikła żałobna barwa jurt mongolskich; w tej epoce świątecznej używano przeważnie namiotów z białą pilśnią”.

A pośród tych dworów książęcych knuły się pokryjomu przeróżne intrygi, do tronu było kilku kandydatów, każdy miał stronników, regentka państwa, stara Turakina, chciała widzieć chaanem ulubionego syna Kujuka, inni synowie i wnukowie Dżyngis-chana rościli także prawa do następstwa. Zjechała na Kuryłtaj i owa słynna księżna Siurkukteni, córka Ong-chana, księżka Jana, dziś już wdowa, z synami nie-dorośliymi; mądrość jej wysoko ceniono, a kobiety potężny wpływ wywierały w tym czasie na sprawy państwa, niejedna niewolnica zdobyta na wojnie, trzęsła potem całym dworem zwycięzcy. *Chatuny*, czyli damy, matki, małżonki, siostry książąt, urzędownie należały do narad na Kuryłtajach.

Ludmiła pragnęła bardzo poznać księżną Siurkukteni, bo to była chrześcijanka; zapewne nie zupełnie prawowierna, przez nestoryańskich księży ochrzczona, zawsze jednak chrześcijanka, tak samo, jak i ojciec jej, legendowy książdz Jan. Małżonka Behadyra i Terchana była także dostojną osobą pośród tego zgromadzenia, Ajdar nie omieszczał przedstawic wszystkich czterech żon swoich księżnie Siurkukteni, a ta szczególniemi względami wyróżniła Ludmiłę. Wspomniała też o niej regentce Turakinie, ta zaś, po części ciekawością zdjęta, po części chcąc sobie zapewnić przychyłność znakomitego Behadyra, poprosiła go, aby przyprowadził do niej na wielki obiad piękną swą żonę Polkę, o której ludzie takie cuda rozповідаją. Zaszczęty ten uszczęśliwił Ajdara, a Ludmiła rada nie rada musiała się pysznie ustroić, jak mongolska Chatuna i jechać na obiad książęcy. Ale nie możemy czytelników naszych pozbawiać tak ciekawego opisu, przytoczamy więc ustęp ten dosłownie. Autorka, malując przepych wschodu, zdaje się barw zapożyczać od słońca, obrazy jej tyle mają w sobie życia i prawdy, że nas przenoszą na skrzydłach wyobraźni w ten świat tak oddalony, świat nawpół fantastyczny.

* * *

„Nazajutrz więc od rana Ludmiła kazała sobie przynieść wszystkie szaty i kosztowności, aby je przeglądać, przymerzać i utworzyć jakieś arcydzieło sztuki. Siedziała w największym ze swoich ruchomych domów, tak dużym, że go nigdy z kół nie zdejmowano. Podobne podwyższenie miało swoje korzyści: podłogę, wiszącą w powietrzu na masztowych osiach, broniło nieźle od wilgoci, wyziewów i wiosennych roztopów.”

„Dom tworzył jedną sporą salkę i malutką sionkę, do której wchodziło się od strony zaprzęgu; w tej sionce stał woźnica, kiedy wóz był w ruchu. Dziś na miejscu dyszla wisiały tymczasowo przyczepione schodki; te prowadziły do drzwi lekkich, uplecionych z różdżek, jak całe domostwo i obciążniętych różnobarwną pilśnią. Podczas jazdy drzwi te były na rozcież otwarte; i wtedy jednak oko nie mogło jeszcze dojrzeć wnętrza domu, bo głębię jego zasuwiała się na ciężkie firanki. One to dopiero tworzyły wejście do właściwego pokoju.”

(d. c. n.)

GRY TOWARZYSKIE.

DOBRY SĄSIAD. Grający siadają w koło, w ogrodzie lub na dziedzińcu a wybrana na zaczynającą osobą, staje w środku i zatrzymując się przed jedną z uczestniczek zabawy zapytuje:

— Czy podoba ci się twój sąsiad?

Zapytana powinna odpowiedzieć natychmiast. — Podobna — potem wymienić przyczynę dla czego, powiedzieć czem się żywi, gdzie jedzie w podróż i co zabiera z sobą w drogę. Wszystkie te wyrazy zaczynać się powinny od tej samej litery. W razie milczenia odpowiadającej pytający liczy do 10, jeśli i wtedy jeszcze zapytana odpowiedzi nie znajdzie idzie do koła i gra na nowo się rozpoczyna.

Dowcip jak zawsze tak i w tej grze stanowi o jej powodzeniu. Dla objaśnienia podajemy następujące przykłady. Młodzież bawi się w dobrego sąsiada, rozpoczynający grę staje przed jedną z pańienek i zapytuje: — Czy pani podoba się jój sąsiad?

— Podobna.

— Dla czego?

— Bo jest milczący, jada mleko, jedzie do Monachium i zabiera z sobą mysz.

Powstał ogólny śmiech, gdyż chłopczyk, sąsiad tej pańienki, był wielki gaduła i okropnie bał się myszy.

Nowe pytanie.

— Czy podoba się panu jego sąsiad?

— Podobna.

— Dla czego?

— Bo jest powolny, jada pierogi, jedzie do Patagonii i zabiera z sobą pierze we włosach.

Nowy śmiech. Pańienka, którą opisywano, była bardzo żywa, nie lubiła pierogów i przy poprzedniej zabawie w chowanego, ustroiła główkę w puch z poduszki, za którą ukryć się starała.

Starsi czuwać powinni aby grający nie przymawiali sobie złośliwie, a niewinne żarciki czynią z tej zabawy dowcipną i wesołą rozrywkę.

ROZMAITOŚCI.

Najwaleczniejszym, ale zarazem najokrutniejszym szczepem w koloniach niemieckich w Afryce, są mieszkańcy kraju Massai, prawdziwy też to postrach sąsiadów. W roku 1884 mówi Wszechświat, w jednym ze swych ostatnich numerów, bawił tam Anglik Thomson. Karawana jego dotąd pozostawała w zgodzie z Massaiczkami, ale ci stawali się coraz zuchwalszymi, i niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą.

— Wobec coraz groźniejszej postawy rozbójników — mówi Thomson — szukałem środka ratunku, w wyzyskaniu ich zabobonnego usposobienia.

— Zacząłem udawać że jestem *leibom*, to jest czarownikiem, a gdy się zebrała znaczna liczba ciekawych chwytałem najbliższego i wołałem:

— Dawaj no twój nos, ja ci go odetnę, a na dowód méj władzy znowu przyprowadzę do twarzy, niedowierzacie mi? to przypatrzcie się moim zębom, i to mówiąc wyszczerzył na nich dowcipny Thompson dwa rzędy zębów, które były wprawianymi zębami, a po chwili pokazał jakim gołe szczęki zarczając, że zęby ukażą się znowu na jego żądanie.

Wistocie w chwilę potem, wprawne zęby wróciły do ust, ale zgromadzenie dzikich tak osłupiało ze zdziwienia, że odtąd europejczycy mogli bezpiecznie przebyć niegościnnie kraj Massajczyków.

W podobny sposób peruka uratowała innego uczonego w Maroko. Gdy go pewnego razu napadła zgraja Arabów, i poczęła rabować jego rzeczy:

— Strzeżcie się mocy chrześcijanina — zawołał, rzucając perukę na ziemię — jak te włosy tak pospadają brody wasze.

Przestraszeni Arabowie uciekli, a uczony spokojnym był odtąd o swój tłómaczek.

ŁAMIGŁÓWKA.

(Dla Pegaza od Perpetuum mobile).

		i		
	z	n	n	y
i	e	n	i	e
i	t	m	i	o
o	n	o	t	i
e	e	i	w	z
i	t	m	c	ą
i	e	a		i
w		g		d

Poprzestawiać kolumny liter nie zmieniając ich porządku, aby odczytać zdanie sławnego człowieka.

SZARADA.

(Dla wszystkich miłych czytelniczek „Wiecz. Rodz.” od Heliotropa).

Dwie pierwsze świętość Koranu czciciela,
A trzecią znajdziesz w swój twarzy;
Wszystko błękity z siebie wydziela,
W które spogląda — kto marzy,

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

Szarady:

He — le — na.

Łamigłówniki geograficznój:

E	U	R	O	P	A
l	U	b	l	i	n
m	e	R	e	c	z
p	o	ł	O	c	k
s	i	e	r	P	c
p	i	l	i	c	A

TREŚĆ: Jaszczurka rogata (z drzew.) — List z Paryża p. Jaskółkę z nad Sekwany. — Do marzącej dziewczynki, wiersz p. Gabryele Jasienską. — Wspomnienia z wakacji, opisała Kalinka. — Rysownik w Tatrach (z drzew.) — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Gry towarzyskie. — Rozmaitości. — Łamigłówniki i rozwiązania. Dodatek: Strzeżmy się pochlebców, (z drzew.) — Dary wróżki wiersz Tomasza A. — Ptaszek, gra. — Powiastki dla Zygmunia K. p. Romanią Kamińską. Łamigłówniki i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy. Goście ciotki Klotyldy przez Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



STRZEŻMY SIĘ POCHLEBCÓW.

Miaucząc sobie wysokim dyszkantem panna Kikitowska, wielce uczona koteczka, przechadzała się po salonie swoim na dachu zamożnego dworca, tuż za kominiem, gdzie równa zupełnie powierzchnia nadawała się do liczniejszych zebrań. Panna zwijała i rozwijała niecierpliwie wachlarz oczekując na zaproszonych, a księżyc pyzaty lecz blady, bo wiecznie chory na bezsenność, uśmiechał się z jej niecierpliwości. Wtem otworzyły się drzwi i lokaj Miaukos przeraźliwym miaukiem oznajmił przybywającego gościa:

— Jaśnie wielmożny pan Mruczysław Kiciakiewicz!...

Panna Kikitowska poskoczywszy już ku drzwiom ochoczo, powstrzymała się za usłyszeniem tego nazwiska kręcąc noskiem niechętnie, bo o ile pan Kizosław miłym jej był gościem, jako pochlebnik wiecznie wychwalający literackie utwory, z jakimi się popisywała, o tyle nie lubiła pana Kiciakiewicza staruszka, który, szczerze jej dobrze życząc, nie pochlebiał nigdy, mówiąc zawsze w oczy prawdę surową, a broniąc za oczy, co się u pana Kizosława wcale przeciwnie zdarzało. Ale cóż robić z młodością i niedoświadczeniem, panna Kikitowska wołała pochlebnika Kizosława. Mimo to jednakże, jako osoba dobrze wychowana, przyjęła bardzo uprzejmie i wdzięcznie pana Kiciakiewicza, jegomości stariej daty, dygając przed nim elegancko, a zakrywając się przytem zlekka wachlarzem, aby ukryć chętkę do śmiechu ze staroświeckich manier gościa, z jego zamasystychnych ukłonów. Miaukos, wymiauczawszy swoje, cofnął się do przedpokoju i Kiciakiewicz siadając koło gospośi zaczął natychmiast po swojemu, nie obwijając w bawełnę:

— No, moja kochana przyjaciółko, zaprosiłaś nas na odczyt. abyśmy dali o nim swe zdanie, zanim wystą-

pisz z nim publicznie na ratuszowym dachu, bardzo dobrze, dajno mi rękopis, bo ja najlepiej ocenię czytając sam sobie pocichu, dla tego właśnie wcześniej przyszedłem. — Wziął rękopis i czyta:

— „Najnowszy traktat o lunatyzmie czyli chodzeniu przez sen, celem zastosowania stanu tego do łapania myszy a zwłaszcza ptasząt, bo jeżeli w stanie tym mogą nawet ludzie chodzić po dachach, to cóż dopiero koty?” — staruszek rzucił rękopis:

— Moja droga panno Kikitowska — zawołał — pozostawmy ludziom ich obyczaje, a my łapmy myszy po dawnemu, ponieważ kotami jesteśmy, niech oni tam naprzód na sobie samych probują swe sztuki. Nie mówię ja abyśmy odrzekali się wcale nowych pomysłów, tylko żądam, abyśmy się ich nie chwyтали zbyt lekko-myślnie, gdyż na tem szkodować tylko możemy. Uczona pani skrzywiła noskiem:

— Mój panie Kiziakiewicz, ledwoś na tytuł spojrział a już moję pracę ganisz!... — rzekła urażona odwracając się od zbyt surowego gościa. A wtem...

(d. n.)

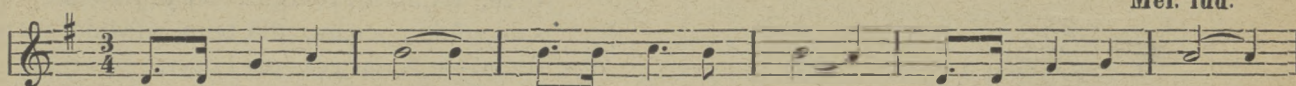
DARY WRÓŻKI.

Było to dawno. — Za górą, za rzeką,
Dobry pan władał krainą daleką.
Wielą go bogi obsypały dary:
Zdrowiem, bogactwy, wielką walecznością,
Jednakże często troskał się pan stary
Swych miłych dziełek niepewną przyszłością.
Codzień do chramów szczodre słał obiady,
Codzień ubogich żywił liczne grono,
Błagając bogów, aby jego kwiaty
Na litościwe przytułyły łono.
Niepróżno prosił. Ot pewnego razu
Posłanka niebios do niego zstąpiła,
Wróżka „Roztropka” — ta z bogów rozkazu
Trzy różne skrzynki przed nim położyła.
— Pielęgnuj — rzekła — dzieci drogie tobie,
Nauczaj pracy, cnót zamiłowania,
A gdy wyrosną, niechaj każde sobie
Weźmie talizman, jak je wola skłania,
Ta skrzynka złota — bogactwo przyniesie,
A z niem zaszczyty, i niezasłużone;
Sława się znajdzie też przy pełnej kiesie,
Chociaż nic nie tkną ręce wypieszczone.
— Srebrna — wyborcę geniuszem obdarzy,
Imię rozgłosi, aż na krańce świata,
Cierpienia życia postawi na straży,
Czystości myśli, gdy w wyżyny wzłata.
— Ta ot — żelazna tyle obiecuje:
Zadowolenie i spokojne życie,
Bo ona pracą, a kto ją miłuje,
Ten będzie szczęśliw i przy miernym bycie.

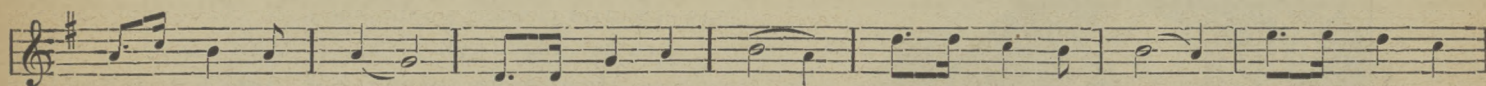
Tomasz A.

Ptaszek.

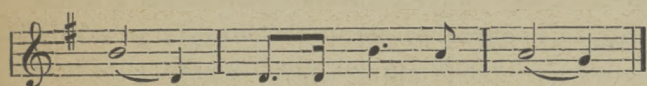
Mel. lud.



Gdy-bym pta-szkiem był I skrzy-deł-ka miał, W górę bym się wzbił



I w po-wie-trzu chwiał, Po ga-łąz-kach drzew Fru-wał bym wciąż rad, Nu-cąc wdzię-czny



śpiew, Ach jak pięk - ny świat.

Lepiej udaje się w ogrodzie, niż w pokoju. Tutaj stają dzieci w pewnej odległości jedno od drugiego, czy to pod krzaczkiem, czy to koło drzewa, lub ławki i biegając zmieniają miejsca niby ptaszki. Jedno chodzi w środku i śpiewa: „Gdybym ptaszkiem był! Po słowach: „Że nie złapie, nie!” przelatują dzieci, a śpiewające je łapie. Złapane dziecko zastępuje jego miejsce, staje w środku i śpiewa:

Gdybym ptaszkiem był,
I skrzydełka miał,
W górę bym się wzbił
I w powietrzu chwiał,

Po gałązkach drzew,
Fruwałbym wciąż rad
Nucąc wdzięczny śpiew,
„Ach jak piękny świat!
Gdy dokuczy głód,
Smaczne wiśnie tuż,
Za twój śpiew i trud,
Spocznij ptaszku już,
Gdy w ogródku kto,
Ptaszka złapać chce,
O upewniam go,
Że nie złapie, nie!

Powiatki dla Zygmunta K.

przez Romaną Kamieńską.

MUSZKI.

— A co, Karolciu, czy jesteś już gotowa? — spytała małej swjej córeczki, trzymającej słomiany kapelusz w rękę, mama jej, przygotowując się do wyjścia.

— Okryję tylko lalkę kołderką, bo już ją do snu ułożyłam i zaraz idę — odpowiedziała dziewczynka, wywijając kapelusikiem i szukając jednocześnie kołderki w stosie gałąnek leżących w koszyku.

— Prędkiej moje dziecko, bo słońce zachodzi i tata niebawem zejdzie z sianożęci — nagliła mama.

— O! jeszcze zastaniemy tatusia na miejscu... on zawsze tak późno wraca — odparło dziecko, podbiegając żywo do mamy i biorąc ją za rękę — my pójdziemy prędko. Nieprawdaż, mamu?

— Po piasku nie tak łatwo iść prędko.

— A boczną ścieżką, przez trzęsawisko? ja wczoraj chodziłam tam z Wawrzyńcową... ziemia ugina się trochę, ale ścieżka sucha, tylko jak podskoczyć dobrze

obiema nogami, to trochę dudni... to tak zabawnie — i dziewczynka śmiać się zaczęła.

— Tamtędy trudno będzie przejść teraz, bo nad wieczorem roi się tam od tych drobnych muszek, co zasypują oczy, wciskają się w nozdrza i że z nimi rady sobie dać nie można; a przytem w tej porze dnia, węże, jaszczurki, wychodzą ze swych kryjówek odetchnąć świeżem powietrzem po całodziennym upale, więc miałybyśmy tego całe tłumy ich pod stopami. Idźmy lepiej dłuższą, lecz pewniejszą drogą.

I wyszedłszy z dziedzińca, puścili się obie piaszczystą drogą, wiodącą do lasu, gdzie jednokonne wózki chłopskie, zwane w Pińszczyźnie koszykami, wyłobiliły dwie wązkie koleje, a kopyta końskie wydeptały równolegle od tych kolei ścieżkę. Po bokach grunt był twardszy nieco, bo tam drobne ziółka i trawy, krzewiące się w spokoju, ociągnęły ruchomy pokład piasku swemi liśćmi i korzonkami.

Dochodząc do lasu, co ukrywał w sobie łączkę, gdzie koszone siano, Karolcia ujrzała leśne dzwonki i inne kwiatki, położone promieniami zachodzącego słońca, rzuciła się ku nim i układać z nich bukietik zaczęła; a mama jej tymczasem, widząc roje drobnych

muszek i komarów, piętrzących się w wysokie a szerokie słupy, co przejście jej tamowały, wyłamała młodą brzoową latorośl i przyzywając córeczkę, opędzała się gałęzią od natrętów.

— Mamo, mamo, te muszki i komary na śmierć mnie zagryzą! — wołała z daleka Karolcia, to podbiegając do mamy, to znów za kwiatkiem się cofając. — Moja mamusi, proszę tu do mnie z gałązką.

— Mamusia nie przysłała tu po kwiatki, lecz na spotkanie taty — odrzekła mama, nie ruszając się z miejsca.

— Chwileczkę jeszcze mamusiu... a jakież te muszki nieznosne... oj, oj, mamo, mamo! Jedna mi w ucho wleciała! — zajęczała dziewczynka, oblewając się łzami, a w tej chwili cały rój muszek, otoczywszy ją dokoła, jak obłokiem całą owinął. Podniosła rączki do góry, uderzyła niemi silnie przed siebie i kwiatki się rozsypały... Czerwona, spocona, zplakana, przybiegła wreszcie do mamy, kryjąc twarz w faldach jej sukni, a tupiąc i podrzucając nóżkami.

— I cóż z tego będzie? — spytała mama — wracajmy chyba do domu...

— Ależ taty jeszcze nie ma... my poszliśmy naprzeciw taty... Jakże te muszki szkaradne... czemu one sobie gdzie dalej nie lecą? — przerywając słowa płaczem, skarżyła się Karolcia.

— Muszki tam są, gdzie im być należy, gdzie ich właściwsze miejsce; muszki te żyją jeden dzień tylko, więc życiem nacieszyć się im trzeba, Karolcia tylko nie na właściwym znalazła się miejscu i nie właściwie na ten wypadek uzbrojona, dla tego to muszki wydały jej walną bitwę i pokonały.

— Na co mama mnie to mówi!... na co mama mnie to mówi! — broniła się rozdrażniona pieszczoszka, kręcąc się i szturchając mamę główką, jak głodne cielątko swą matkę — czy to kwiatki i laszek niewłaściwe miejsce dla Karolci?

— Więc córeczka przysłała tu z mamą dla lasu i dla kwiatków, tak?

Karolcia na te słowa mamy podniosła na nią zapłakane oczęta, badawczo i pokornie razem, gdyż była to roztropna dziewczynka, i przemówiła cichym głosem:

— Mamusiu, my przyszliśmy tu na spotkanie tatusia.

— A więc jeżeli celem naszej przechadzki było spotkanie tatusia, nie trzeba sobie było wymyślać innego celu, mitrężyć czasu i wyprawiać mamie taką scenę w lesie. Trzeba było przeciwnie zrobić tak, jak mama: wyłamać gałązkę, opędzać muszki i iść naprzód, nie zajmując się ubocznymi sprawami. Byłybyśmy wcześniej zobaczyły się z tatą, dalszą zrobili przechadzkę, a na łączce między kosarzami, mogłabyś bezpiecznie i kwiatówtek uszczknąć jaki.

— Mamusiu, może ich tam jeszcze zastaniemy... ale nie, nie! słychać już śpiewy... już zeszli z sianozęci. Boże, Boże! co tata powie, jak zobaczy mnie zapłakaną! — i dziewczynka załamała rączki.

— Powie to samo, co mama, a więc powie, żeś dużo czasu zmarnowała i mnie i sobie, nie pilnując wyłącznie tego, cośmy przedsięwzięli.

— A na cóż te kwiatki takie ładne tu rosną?... gdyby ich tu nie było, jabym szła za mamą i nie schodziłabym z drogi. A jeszcze te muszki nieznosne!... ja do kwiatka, a one za mną, ja obracam się tu, i one tu... to one, mamo, najwięcej mi czasu zabrały.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

(Ułożył Jaguar dla Kochanej pani).

Na	bez	gi	le
nie	war	gro	za
da	ślu	wie	ta

ROZWIĄZANIE DO N-ru 20-go.

Szara dy:

U — li — ca.

Skrzynka do listów.

Jaskółce z nad Sekwany dziękujemy za dzisiejszą korespondencję i prosimy o następną.

Żłotowłosa Rusałka niech przeczyta w N-rze. 18 Wiecz. Rodz. odpowiedź daną Pegazowi, innej, kochana Rusałko, dać ci dziś nie możemy.

Izie z Kalskiej Woli dziękujemy za słowa współczucia. Znamy tu i cenimy bardzo braciśzka Ignasia, o którym Blondynka pisze, tem chętniej też liścik jej umieścimy.

Birkut Himalajski gdzieś daleko latać musiał, kiedy tak dawno nie pisał. Powiastkę oddaliśmy Gołąbce, która za pamięć serdecznie dziękuje.

Attyla niepotrzebnie tak szumne daje nam tytuły. Nie, Attylo, w Australii nie mamy czytelników.

Zmartwiona Kometka bardzo zmartwiła Gołąbkę, ona tak pragnęłaby pozyskać sobie serca korespondentek, a tu jej zarzucają, że zgubiła liścik do Wiejskiej Dzieweczki. Kometka nie wie, że Gołąbka wyjątkowo Wiejską Dzieweczkę kocha, bo ją zna od dawna, pewnie więc to winą poczyta a nie Gołąbki.

Malcowi. Prosimy bardzo pisywać do nas i należeć do konkursów, każdego nowego przyjaciela i korespondenta witamy z radością. Liścik damy tylko jeden, bo nie mamy miejsca na korespondencje wszystkich do wszystkich, więc umieszczamy tylko liściki chłopczyków do chłopczyków, i panienek do panienek.

Nieznajomy w powyższej odpowiedzi znajdzie i dla siebie wyjaśnienie.

Niezapominajka z nad Warty czemu wprost do nas się nie udała. Brzegi Warty to strony nam drogie, chętnie więc wszystkie życzenia korespondentów tamtejszych spełnimy.

Mandarynka ślicznie napisała i wielką, nam swym liścikiem sprawiła przyjemność. Prosimy, kochaną Mandarynkę o odczytanie odpowiedzi daną Malcowi.

Rączy Jeleń dowcipnie ułożył szaradę, z pewnością nie pójdzie ona do kosza, tylko musi czekać kolei.

Fijołeczek z nad Wisły zanaadto surowo się sądzi. Skromność to twój przymiot Fijołku, ale zadanie pewnie będzie dobre, czemuż naprzed wątpić o twój pracy?

Gospozi z nad Warty posyłamy wypis żądanych książek wraz z cenami. Gram. pol. Małckiego rs. 1 kop 20. Ruska Iwanowa kop. 50. Zoologia Wrześniowskiego rs. 2 kop 40. Botanika Rostańskiego rs. 1 kop. 20. His. pow. Zdanowicza rs. 3. Dodatek zaś rysu dziejów nowszych M. Dubieckiego rs. 2. kop. 20. Metoda niemiecka Reussnera rs. 2 kop. 60. Taką angielską kop. 80. Fizyka Rodeckiego rs. 1 kop. 70. Arytmetyka Bączalskiego rs. 1 kop. 10.

Wieśniak Podlaski bardzo ładny wybrał pseudonym, siostrzyczkę jego o liścik prosimy, posyłając pocałunek za obietnicę, ale pisać do nas trzeba śmiało, jak do dobrej znajomiej.

Sarneczce z nad Sanu za ciekawą i pięknie napisaną korespondencją Gołąbka serdecznie dziękuje, podzieli się nią wkrótce z czytelnikami Wieczorów.

Orzeszek bardzo miłutko napisał. Czyby ten *Orzeszek* nie nazywał się n. p. Gałązką leszczyny? Znamy miejsce twego urodzenia, Orzeszku, i wiemy że jesteś panienką, czemuż więc nie wziąć pseudonimu stosownego dla dziewczynki?

Tłuszczoszcze, Mgle i Rucie. Za Gołąbkę odpowiadamy dla pospiechu. Mgle może odebrać w redakcyi przedmiot, którego tak pragnie, a Tłuszczoszkę i Rutę jako nowe korespondentki, witamy z radością, ciesząc się, że Wieczory kochaną Tłuszczoszkę zajmują, i prosząc, aby Ruta pisząc do redakcyi pisała śmiało.

Topolka z nad Kodemy ucieszyła nas swym liścikiem bardzo, bo cenimy niezmiernie stare jak Topolka, korespondentki. Gołąbka odpowiedziała już na pytanie Topolki.

Kampanella śliczny pseudonym wybrała, witamy cię dzwoneczku, zwiastuj nam zawsze dobre wieści, i kochaj jak my cię już za miłutki liścik pokochaliśmy.

Stokrotce z nad Pilicy dziękuje Gołąbka stokrotnie za dar przysłany, ale dwóch liścików drukować nie można, daruj Stokrotko!

Białorusinki powiatkę odebraliśmy, niedługo sędzić już zacznie Gołąbka prace swych korespondentek, a mamy przecucie, że Białorusinki zadanie z pewnością do kosza nie pójdzie. Serdeczne uściśnienie przesyłamy nowiej korespondentce.

Czeską Niezabudkę prosi Gołąbka o zgłoszenie się do redakcyi dla osobistego porozumienia w wiadomym interesie. Wiemy, że starsuszek fatygować się nie godzi, ale może przy tej sposobności poznamy tę miłutką Niezabudkę którą z opowiadań, Kochanej pani znamy oddawna.

Jaguara wierszyk. rzewny i pełny uczucia, ale do druku się nie nadaje.

Tolwid na tej samej karteczce napisał liścik co łamigłówkę. Więc łamigłówka przypadkowo poszła do kosza. Prosimy zawsze o pisanie oddzielnie tego, co ma być do druku.

Droga Topolko srebrna! Dziękuję ci serdecznie za liścik. Jak Wieczory lubię, tego ci opisać nie potrafię; z nauk lubię najlepiej historią i przyrodnicze przedmioty, a ty? Czy gracie często w krokiet? My już zaczynamy. Ściskam was wraz ze Stefcją serdecznie. Twa *Halka z Litwy*.

Dziewannie pól Mazowieckich przesyłam też serdeczne pozdrowienie.

Kochane moje Polanko, Dębinko, Łatko, i Bzu gałązko! Podniesioną przez was myśl umieszczenia w którym kościele tablicy marmurowej z napisem, dla Kochanej pani, z całego serca przyjmuję. Życzliwa *Rezeda*.

Kochana Pamiątko! Znam się i ty mnie znasz, ale od czasu jak wróciłaś na pensyę widzę, że bardzo zrobiłaś się dumna, bo mniej chętnie bawiłaś się z nami. Jednakże kocham cię i pragnę zobaczyć, tylko koniecznie wesołą, bo z tą poważną miną wcale ci nie do twarzy. Kto jest Listeczek Bzu, do którego pisujesz, bardzo jestem ciekawa. Twoja *Okruszyńska*.

Kochana Dewajtis! Piszę do ciebie moja droga, gdyż chciałabym cię poznać. Napisz mi ile masz lat, jak ci imię? i gdzie mieszkasz. Ja mam lat 14, mieszkam w małym miasteczku Py-

zdry, w przesłicznym położeniu, a na imię jest mi Mania. Ściska cię niezliczone razy i prosi o odpowiedź, *Gospozi z nad Warty*.

Kochane Rajske Jabłuszko! Chciałabym pisywać do ciebie przez Wieczory. Czy się zgadzasz na to? Na imię mi Anielcia, mieszkam w Warszawie. Napisz mi co sobie. Twoja *Biała Perła*.

Kochana Staszko z Podola! Bardzo ci dziękuję za liścik, który do mnie pierwsza napisałaś, donoszę ci że mi na imię Marteczka, mam 16 lat, trzy siostry i jednego brata. Napisz mi co o sobie moja złota. Czy dawno trzymasz Wieczory? Czy mieszkasz na wsi czy w mieście i jakie twoje imię i wiek? Ja mieszkam na wsi o cztery mile od Warszawy. Całuję cię bardzo serdecznie i czekam odpowiedzi. Twoja *Cyganecka z nad Wisły*.

Kochana moja Blondynko Podlaska, Świtezianko i Jesieni! Serdecznie ci dziękuję Blondynko kochana za twoję miłutką odezwę; mam nadzieję, że się mego poważnego wieku nie ułękiesz, jestem bowiem starszą. Tobie Świtezianko za pamięć dziękuję i ściskam serdecznie. A Jesień poważną starszkę czule pozdrawiam. *Czeska Niezabudka*.

Kochana Funiu z Kluczeńska! Dowiedziawszy się od Ignasia, że trzymasz Wiecz. Rodz. piszę pierwsza do ciebie z myślą że mi odpiszesz i obierzesz sobie pseudonym. Donieś mi co ci się najwięcej podoba w Wieczorach i kiedy jedziesz do Buska? Przyjmij serdeczne ucałowanie od Mimi, i od nieznanej ci Blondynki z *Piotrkowa*.

Kochana Gałązko heljotropu! Wiem, że mieszkasz w Kaliszu, gdzie i ja nie długo mam się przenieść, może się poznamy. Napisz mi ile masz lat i jak ci na imię. Ja mam lat 13, a na imię mi Paula. Ściska cię serdecznie i prosi o odpowiedź: *Minoza*.

Kochana Zosiu z Sandomierza! Nie wiem jaki masz pseudonym, więc cię nazywam po imieniu, bardzo mi się podobałaś z opisu mej cici, pisuj do mnie, cici rączki ucałuj i powiedz, że jesteśmy w Gruszeze. *Mgła*.

Kochana Janinko! Lubo się nie znamy, poznać się możemy, pisując przez nasze kochane Wieczory. Wiem że je czytujesz, zgadnij kto jestem? i odpisz. Ściskam cię serdecznie wraz z moją siostrą Maniusią. *Muszka brzęcząca*.

Kochana Bławatko z nad Horynia! Zdaje mi się, że cię znam; na imię ci Zosia, masz siostrzyczkę Lolę, i dwóch braciszków. Odpisz mi czy zgadłam? Życzliwa *Kampanella*.

Kochane Serce prawe! Znasz mię dobrze. Chodźmy do jednej szkoły, do jednej klasy, a nawet siedźmy na jednej ławce. Zgadnij kto jestem? Twój *Malec*.

Kochane: Polanko, Dębinko, Łatko i Bzu gałązko! Odczytawszy odezwę waszą, kochane towarzyski, pośpieszamy wam za nią podziękować. Szczęśliwemi czujemy się że należemy do grona tej, jak Kochana pani nazywała „wspólnej rodziny” i że możemy wziąć udział w uczczeniu Jęj pamięci. Szczerze życzliwe *Brzózka i Śnieszka*.

Kochana Rozpieszczona Jedynaczko! Chciałabym bardzo do ciebie pisywać, czy zgadzasz się na to? Donieś mi co o sobie. Ja nazywam się Jadwiga, mam lat 12. Uczę się w domu, mieszkam w Warszawie z mamą i trzema starszemi siostrzyczkami, które bardzo kocham, a szczególnie najstarszą. Co ci się najwięcej podoba w Wieczorach? Mnie „Najnowsza powieść Deotymy” czytam ją z wielkim zajęciem. Odpisz prędko *Różyczce Chiński*.

Kochana biała Różyczko Wołyńska. Z tego co piszesz widzę, że mamy jednakowe upodobania, bo nietylko nauki, muzykę i konną jazdę, ale i liściki pisywać lubię. Imię moje jest Anna, uczę się w domu, ale wkrótce mam być oddaną na pensyę. Ściskam cię serdecznie. *Stokrotka z nad Pilicy*.

Pegazie Skrzydlaty! Zgadnij, kto ja jestem. Mój pseudonym niewiele ci pomoże do tego. Ale się domyśl. Ostatni raz cię widziałem na ulicy Przejazd, w dzień św. Stanisława. Oczekuje odpowiedzi *Wejdawutas*.